

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

9)

Kazia powróciwszy tego wieczora do domu oznajmiła krótko zdziwionym rodzicom i siostrą:

— Zareczyłam się. Z panem Julianem Woźniewiczem, moim kolegą z bura, człowiekiem dynastygowanym, z arystokratycznej rodziny.

— Patrzcie państwo z *arystokratycznej*! a czy on bogaty? — zapytała matka, a ojciec, krępy, barczysty mężczyzna z opuchłą czerwoną twarzą alkoholika machnął ręką i wyjawiał swe sceptyczne zapatrywanie!

— Czy to pierwszy raz? pewnie z tego znowu nic nie będzie!

ROZDZIAŁ V.

Stefka Łączkówna w garderobie, którą zajmować miała z trzema jeszcze innymi chórzyskami zaanektowała od razu dla siebie najwygodniejszy stolik i największe lustro. Poprzednia właścicielka gwałtem z własności swojej wyzuta próbowała wprawdzie protestować, a Stefka zachowała się z taką bezwzględna pewnością siebie, że tamta choć zaprawiona do codziennych kłótni z koleżankami zdecydowała się ustąpić.

Wszystkie tylko sarkaly na nią po cichu nie śmiejąc głośno zacząć.

— Zośka, tej nowej trzebaby przykrócić buzię. Strasznie sobie śmiało poczyną.

— Ba! podobno ma plecy — odszepnęła Zośka — przecieży jej inaczej nie trzymali, bo fałszuje aż uszy boją!

— Jak się tak „sypnie” na spektaklu to dopiero będzie! reżyser się chyba wścieknie...

— Nic się jej nie stanie! ona już reżysera ma za sobą. Psiakrew, takie coś, to ma szczęście, a tu człowiek tyle lat dyma i dyma te chóry za nędzną zapłatą!

Stefka siedząc przed lustrem z ogromną starannością „robiła” sobie twarz. Niezmierne szybko zgłębiła tajemnicę charakteryzacji, w czym jej niemało pomocą były jej uprzednie studia w dziedzinie „sztuki stosowanej”. Wiedziała doskonale jakimi pociągnięciami ołówka wydatnić blask oczu, jaką ilością i jakimi kombinacjami szminki wysubtelnić rysy i nadać cerze barwy olśniewające przy świetle kinkietów scenicznych.

Mając przedstawiać jedną z artystek z „pariete” w „Księżniczce czardasza” przywdziała ognisto-blond perukę wpadającą w odcień miedzi.

W ognistych włosach błyszczał wielki motyl z zielonych kamieni. Były to tylko skromne chryzoprazy szmaragdów, o których Stefka marzyła, Chaniewski nie chciał sprawić.

— Wstrętny sknera — pomyślała, przymocowując do loków peruki ćwierć szlachetny klejnot — ale niech no ja się tylko wygrzebie w górę!

— Suknia zato nie pozostawiała nic do życzenia. Jedwabna pasowa gaza bardzo głęboko wycięta i sięgająca dołem zaledwie do kolan, odsłaniała w całej wspaniałości przepyszne ramiona, nieco zagrubie w wiązaniach, białe jak alabaster plecy, wyniosły jędrny biust i nogi niezupełnie rasowe, ale silne i pociągające oko pełnią formy. Suknia spięta była na ramionach sprzączkami imitującymi złoto, przewiązana w pasie złotym sznurem. Zielone kamienie migotały wśród ognistych loków, kocie oczy Stefki lśniły fosforyzująco. Sprawiała wrażenie, jakby była utkana z płomienia krwi i grynszpanu.

Tamte irzy chude, sterane, podstarzałe w lichych, teatralnych galgankach, w cerowanych trykotach, spoglądały na nią z palącą zazdrością.

— Patrzcie — syknęła cicho Zośka — jak się to wystroiła! Prymadonna!... krowienia.

— Ani to śpiewać, ani się ruszać nie umiel to musi te grube tydki pokazywać — dogadywała również po cichu druga, zwana „czarna” Walka, której słabą stroną były cienkie jak patyki nogi nieco skrzywione przez przebytą w dzieciństwie angielską chorobę.

Do uszu Stefki dolatywało to i owo zjadliwe słówko, ale nie zwracała na to uwagi... cała zaśluchana w mowę swego zwierciadła. Co ją mogły obchodzić te zawisłe sroki, kiedy pewna

była, że oczaruje, olśni publiczność swoim wyglądem... kto wie może nawet zaśmiał artystki odzwierając główne role... W swej naiwnej zarozumiałości uważała to za rzecz zupełnie możliwą nawet wielce prawdopodobną...

— Jedna ma nogi w iks, druga jest garbata... A ja... uśmiechnęła się z zadowoleniem do swego wizerunku w lustrze...

— Chór na scenę!... chór na scenę!...

Chórzyski i chórzyski na wezwanie inspicjenta biegła zajmować miejsca w łóżach, przypominających raczej budki z wodą sodową i „wabić” publiczność budapeszteńskiego „Variete”.

Stefka nie zmieszana bynajmniej sadowi się nie zupełnie podług wskazówek reżysera ale tak żeby ją było widać. Wyjęła wzrok, aby zobaczyć kogoś na widowni w pierwszych rzędach i w łóżach przy scenie. Na razie jednak niczego dojrzeć nie może w ciemności zalegającej salę. Artystka śpiewająca partię Sylwy Varescu faficy czardasza w rytmie zanadto powolnym, markując szluczną gwałtownością ruchów temperament, którego niema ani w jej tańcu, ani w ładnej spokojnej twarzy. Głos dzweczy czysto, przyjemnie, ale nie ma w nim ognia, nie wibruje on szalem dzikiego zapomnienia cygańskiego. Stefce nagle poczyną wrzeć krew w żyłach. Chciałaby w tej chwili znaleźć się na miejscu prymadonny. Ona by pokazała jak się to tańczy!

Powoli oczy jej przyzwyczajają się do ciemności panującej na widowni i poczynają rozróżniać w pierwszym rzędzie foteli sylwetki widzów. Stefka ma wzrok doskonały i skoro się raz oswoiła z mrokiem spostrzega nawet, że tam ktoś wpatruje się w nią bezustannie przez lornetkę. Rysów twarzy rozpoznać nie może, ale sama świadomość tego spojrzenia skierowanego na nią niechybnie z podziwem i z zachwytem napędza ją uciechą i daje błogie poczucie pewności siebie.

Antoni Babel — on to bowiem zajmował fotel w pierwszym rzędzie i pomagając sobie szklami binokli i lornetką pozerat formalnie Stefę wzrokiem. Po chwili ścisnął za ramię siedzącego obok niego Olczaka.

— Redaktorze! ona jest na scenie!

— Co za ona?

— No ta klientka ze sklepu ta śliczna blondynka, o której panu mówiłem. Panie! patrz pan jak ona cudownie wygląda! co to za kobietka! ja czuję jak się we mnie burzy wszystko!

Babel w swoim entuzjastycznym uniesieniu mówi trochę za głośno. Ktoś z sąsiadów syka.

— Ciszej, ciszej panie Antoni — uspokaja go Olczak — pomówimy o tem w czasie pauzy.

— Ach panie redaktorze! żeby to prędzej była pauza!

Boni cianciano otoczony wianuszkami chórzysiek śpiewa swoją „szlagerową” piosenkę o dziewczątkach z Variete.

„Dziewczątka, dziewczątka, dziewczątka z Variete
Nie biorą miłości zbyt surowo!”

Przy wykonywaniu ewolucji tanecznych Stefka wyróżnia się stanowczo.

W śpiewie ucieła wprawdzie kilka „kiksów”, ale zato ruchy jej są śmiałe, gibkie, wdzięczne. Już nie tylko sam Babel, ale kilku innych mężczyzn na sali przykładają do oczu lornetki aby obserwować tę złoć-krwawą dziewczynę. W ciemnym loży dyrektor Chaniewski poprawia i przeciera szklą i uśmiecha się lekko kątami swych swych wąskich ust. W najgłębszych mrokach, gdzieś w jednym z ostatnich rzędów łkwi Julian Woźniewicz. Wybrał się do teatru w tajemnicy przed matką i narzeczoną, której skłamał, że ma pilną robotę wieczorną w biurze. Nie słyszy nic, nie widzi nikogo na scenie oprócz Stefki, nigdy nie wydawała mu się tak porywająco piękna, a jednocześnie dławio go jakiś wstręt. Ta nawpół naga, wyzywająca kobieta, wyraca wszystkie jego wyobrażenia o godności i czystości niewieściej podrywa głęboko zakorzenione pojęcia przyzwoitości, towarzyskiej, burzy cały gmach norm etycznych, on wstydzi się za nią i za siebie, pogardza nią, a jednak... jednak nie odśzedłby stąd w tej chwili za żadną cenę, nie odwróciłby oczu od obrazu, który go smaga, wstrętem przejmując i sprawia mu ból nieopisany. Zapomniał o Kazi, o swoich zaręczynach, o całym świecie. Widzi tylko, że Stefka jest bardzo piękna, równie piękna jak zła, ordynarna i bezwstydną, i że on przez to cierpi straszliwie i z tem cierpieniem rady sobie dać nie może.

„Dziewczątka, dziewczątka, dziewczątka z Variete
Nie biorą miłości zbyt surowo!”

Babel porwany upajającą melodią, która mu się zlewa w jedno z urokiem zielonych oczu Stefki i z węzową głębokością jej przepysznie rozwiniętych kształtów zaczyna nucić razem z artystami. Sąsiedzi znowu sykają, Olczak ciągnie go za rękaw.

— Panie Antoni niech oni sami śpiewają na scenie, nie pomagaj im pan! to nie uchodzi!

Babel zachowuje się jednak zupełnie jak pijany. W chwilach, kiedy chór niema na scenie wyjawia głośno zdanie, że to wszyscy jest nudne i „pod psem”. Dopiero, gdy Stęfa pojawia się, uspokaja się, zaczyna słuchać i patrzeć... przyczem daleko uważniej patrzy niż słucha.

Po zapadnięciu kurtyny niekiedy z widzów byli mocno zdziwieni faktem, że jejmość w czekoladowej sukni zajmująca jedno z bocznych krzeseł w trzecim rzędzie ociera sobie łzy z oczu.

— Oj Boże! Boże!...

— To panią tak wzruszyło? — pyta sąsiadka — niema czemu się przejmować. Edwin wróci do Sylvy, oni się pobiorą.

— El moja pani, gdzie mi tam o te głupie komedyanckie historie chodzi — odpowiada Łączkówna — ale tu się moje dziecko *kompremituje*. My z porządnej rodziny! jej ojciec w uniwersytecie był, ona zamąż wyjść powinna, a nie goliżnę w teatrze pokazywać!

— Któż to pani córka?

— A ta w czerwonym i perukę sobie ruda wsadziła!

— A to bardzo ładna dziewczyna!

— Pewnie, że ładna! do mnie podobniusia!... kubek w kubek jakem w tych latach była. Z taką urodą toby mogła i hrabiną zostać albo nadradczynią!... A ona taki wstyd, takie zgorszenie robi!

Babel, skoro tylko zapuszczono kurtynę chwycił swego doradcę reportera gorączkowo za rękę.

— Redaktorze, radź co robić. Ja jej bukiet na scenę posła!

— Czyś pan oszalał? chórzyskie kwiaty na scenę? Przecież to byłby skandal niesłychany. Wszystkie solistki by się obraziły. Tak nie można.

— Więc co? więc jak?

— Poślijże pan te kwiaty do garderoby z biletem zapraszającym na kolację po przedstawieniu.

— Dobrze! ślicznie! cudownie!

— A jak ona się nazywa? — zapytał Olczak.

— Ba! żebym to ja wiedział.

— No to tego trzeba się przedewszystkiem dowiedzieć. Poczekaj pan, zaraz pójde za kulisy, i zapytam się.

— Redaktorku! ty jesteś nieoceniony!

Po drugim akcie Stefie przyniesiono do garderoby wspaniały kosz purpurowych, z biletem wizytowym Antoniego Babela, który wyrażając swój podziw dla jej piękności i „talentu” zapraszał ją w gorących słowach na kolację. Stefka uśmiechnęła się niedbale, koleżanki, patrząc na ten wymowny dowód jej powodzenia, posiniały. Łączkówna wiedziała o tem dobrze jak silne wrażenie zrobiła od pierwszego wejścia na bogatym właścicielu drogueryi. Była niezmiernie zadowolona z tej zdobyczy czując, że to jest coś pewnego i postanowiła z rąk jej nie wypuścić. Trzeba tylko postępować mądrze i ostrożnie. Na kolację pójdzie, ale niech sobie ten grubas nie myśli, że to tak od razu! Oho!... Niema głupich!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

